

[Jest za Lublinem drożyna]

Jest za Lublinem drożyna
niedawno szedłem nią. Znów
teraz nikt po przydrożach nie pasie
miedzianych krów

Przez pagór się ciężko przegina
ta droga - piach i piach
ścierniska pług porozrzynał
gdzie kłosa sięgały do pach

Przy kapliczce rozbiegały się steczki
jedna szła poprzez łąki pałąkiem
druga pełzła przez wąwóz u rzeczki
słońce pełzło tam o wschodzie czerwonym pająkiem

Kapliczki ze świętym Janem
w wianeczku zawiętych bylin
dosięgnął niewypowiedziany biały obłok śnieżynek - motyli

Na drożynie za miastem w ten ranek
potok chmur biegł
Otwierając nowych marzeń bramę
spotkałem pierwszy śnieg [s. 274]

Wieczór zimowy

W zmierzchu i śniegu ogród to drzeworyt.
Między smutnymi chochołami biegają dzieci.
W zmierzchu i śniegu roztajały kolory.
Szron świecił.

Maleństwa, kulki futrzane, wełniane
na krótkich nóżkach w pałąk -
a moje dzieciństwo, tyloma już śniegami zawiane,
raz jeszcze smutkiem zawiąło.

Ciągną sanki, zostaje niebieski ślad;
rzucają pociski śnieżne, dziurawią zmierzch,
który ranny i siny na śniegach się kładł
nieuchwytny jak perz.

Czyjś głos woła na dzieci - wychodzą.
Tu tylko linie drzew.
Drzewa cieniami się grodzą.
Skąd cienie? Zaczyna się latarni gazowych śpiew.

Tylko zmierzch żółkniejący i tylko chochoły.
Z nieruchomych gałęzi sypią się konstelacje gwiazd.
Dalekie dzwonią pod śniegiem kościoły
W każdym z zaśnieżonych miast. [s. 326]

Scherzo

Pisano w depresji Morza Kaspii
oraz znużenia
kiedym brnął po pas przez zaspy
cienia.
Równocześnie grano. Radio. I bridge.
Wacio Gralewski wygłaszał „kartiożnyj spicz”.
Kazio Miernowski trwał w cichości
ducha i w pijamie.
Stasio Miernowski zaglądał ojcu Zosi przez ramię.
Kryśka ryczała, Zosia ćwierkała...
Tak to się ta rzeczywistość - jak wi-
dzicie - sam nie wiem czemu -
zakrapiała... [s. 307]

wąwozy czasu

siedemnastego maja o siódmej godzinie
złoty wieczór się kładzie na siwym lublinie
lampy na smukłych słupach biją jak wodotryski
płynące złotem szemrzą o zachodzie okna
ulic klingi placów regularne dyski
futra skwerów zlał blask tego ognia
tak w śródmieściu się pali dzień dogasający
inaczej tu o milę od murów
za sitowiem zapada słońce
jak ciężka szala wagi na której zmierzch urósł

czas
wieczność czasu
szare wąwozy czasu
czas

ścieka w kroplach urasta otchłanie zapełnia
wieje chaosem rzeczy co są lecz się topią
w obłokach ciepłych noc dzień przepadły zupełnie
półbrzask jedynie wisi mętny szary popiół
obrazy marcoussisa piorun sen kruk sztandar
świeca morze pociski przyjaciółki ukłon
katalog róg ulicy pieśń mej matki żandarm
wszystko hurgoce w chmurach mgieł sztywnych jak sukno

krzyczący wir wybuchem zniemacka uderza
wir niepokoju powstał może z przeczytanych książek

zagmatwał strugę czasu spruł ją wskroś i przeżarł
szczelinę wydrażył
przez ręką wiru smagłą uczyniony wyłom
widać jak w teleskopie gwiazdę to co było

z daleka namiot cyrku z bliska transatlantyk
zasłonił nieba niebieski fajans
od ryku osypały się urwisk żółte kanty
mastodont stąpa zagniewany
rozpycha wieczór skórę tak wieczorem chłodzi

nagle zwinęły się liście paprotne po gajach
zaszumiały pianą
to nic to ta chwila odchodzi

w chmurnej szczelinie inna sprzed tysiącleci
pyłem drobnym jak petit na szpaltę nadleci

wiatr nurt zgrzebny dymem odurza
gwiezdny jakże piękny jest ognisk purpurowy żużel
za obozem kołysały się wzgórze
grzbietami wielkich wołów
drewniane niezdarne łamały szuwar koła
i tu chaos mosiężne ręce miecze karki
naszyjniki z krzemieni oczy w ogniu jarkim
oto burza postaci w skórach i kozuchach
stosy rozbijające płomieniami łun nów

aż znowu zaszumiało w szumach półbrzask bucha
pochłania miękka paszcza obłoku tłum hunnów
potem się w nowych światłach powoli rozchyła
i jak balon nad miastem niedawna tkwi chwila

muł w rzekach kolczastego drutu
wśród bomb ginących twarze
złuszczył je ból jak belki łuszczy płomień w pożarze
ziemia i pułki butów

dnie stojące na płytkich okopach
mitraliez kaszle i świsty
na ogniach nocny popas
niebo ogniste
miasto mdlejące przestrzeń która rzeźbi
armaty rozpalone rwące się z uwięzi
w ogniach nicość

nagle odmęt biały zawrzał w głos zanucił
jesteśmy pod lublinem który zorzą płonie
dzień dzisiejszy powrócił

powrócił jak syn marnotrawny
ucałujmy jego skronie

bo gdzie spojrzeć jak dawniej
budynki w oddaleniu lśniąco
a tu o milę od murów
za trzciną i sitowiem zagubia się słońce
jak ciężka szala wagi na której zmierzch urósł

czas
wieczność czasu
szare wąwozy czasu
czas

wizje nie nasycają są zawitym haftem
czy z tego alfabetu co będzie odczytam
po cóż czytać i tak wiem chyba to jest prawdą
pytania odpowiedzi brzmią jak odpowiedzi pytań [s. 79-81]

Z kroniki bibliofilów lubelskich (1931)

Mury nagrzane za dnia, parującą trawę
i drzew ciemnozielone, rozłożyste ręce,
i bliskiego kościoła okna niebieskawe
błogostawi zmierzch czysty jak oczy dziecięce.

O lipy, wiązy, grusze, jabłonki i klony,
bracia, których zakłęta drzewna melancholia,
patrzcie w dół – tam na ławie, lampą oświetlonej,
leży twarzą ku niebu florentyński foliał.

Bibliofile, schyleni nad stronic pięknoscią,
trwają tak cicho, jakby pasterze nad żłobkiem,
uśmiech szczęścia im usta niewidzialne rozciął
i dłonie zajął kwiatów niewidzialnym snopkiem.

Gwiazdy wschodzą nad sadem w blasku lampy zgrzebnym.
Miło, księżu Ludwiku, milcząc myśleć o tym,
że pachnie kwiatów złuda i wieczór podniebny
przy księdze wytłaczanej czerwienią i złotem.

Pan Tyszkiewicz odjedzie na via Giordani,
czar wieczoru rozleci się jak garść świetlików,
my, księgom pięknym wierni i w nich zakochani,
wspomnienie zapiszemy w serc swych pamiętniku.
[s. 327]

Miasteczko

żydzi
żydówki
czarne mieszczańki
cerkiew soborna
dzwony
zielone drzewa
wysokie słupy latarni
sklep narożny [s.276]

Cmentarz i dal

Oto jest szereg cichych głazów -
Nikt ich nie budzi,
Mówię do nich porą wieczorną
Jak do kochanych ludzi.

Nad murem blask się pali dziwny,
Dziwny i niebywały.
Zachód i wszystkie moje groby
Ogniami rozgorzały.

Dal bardzo bliska wśród tumanów
I rozdół siny.
Tęsknotą całą się wrywam
Do tej srebrzystej pustyni.

Z głazów czerwonych, z murów szarych
Patrzę w słońca.
W skrzydła jak w chustę ciemną się chowa
Żałość moja gorąca.

Liczę na grobach lata minione
I los mój zgrzebny,
Z oczyma w mglistych czarach pustyni
Pustyni srebrnej... [s. 248]

o matce

rano tęcza na ścianie odbita z lusterka
falisty brzęk zegara wydobywa na jaw
maj się sadem puszystym jak chmura rozćwierkał
w oknie które granicą jest izby i maja

powiewają tu matki ciemne ciche ręce
przebywają tęczowy refleks czy wodospad
nad obrusem ciemniej ciszej i goręcej
mimo zmarszczek szept smutny niemyślaną groźbą

matko zbudzony patrzę spod rzęs trawy leżąc
matko twe siwe oczy płaczą nade mną może wiatr
jestem tu choć daleko na innym wybrzeżu
twój ostatni kwiat

tak mało wiesz o synu chodząca wśród gromnic
tyle że spajam głązy rymów
tyle że nie mogę zapomnieć
płomienia dymu

jak nikt inny jesteś pośród ludzi
mówić coś mówić drzeć z niemocy słów
żebyś młoda i piękna w uśmiech mogła wrócić
znów [s. 121]

dawniej

szły lipy
gubiły kwiat
mały byłem żaglem łez nakryty
ale to się chyba nie zmieści
w rymami szytej
opowieści

szły lipy
gubiły kwiat
uśnij nuciły sprzętów skrzypcy
bębenek mój drewniany koń
w globusie zaklęty świat

nocą bezsenną naprzeciw łóżka
poruszało się duże okno wędrowało
zapadała się w otchłań poduszka
wicher porywał leżące ciało

wszyscy spali me spały lęki
z lustra wynurzały się suche jak patyk
syczały maleńki maleńki
będziesz jak ojciec w szpitalu wariatów

nie można było budzić mamy
żeby powiedzieć to straszne
dobre lipy chodzą pod domem
sypią kwiatami
jeśli zasypią przerażenie zasnę

tak z głową żaglem łez nakrytą
płynąłem ciężko do świtu
a świt otwierał mi oczy
kwitł świat

cóż mi globus konik bębenek malowany
oto słońce świeci na tapczany
świeci matka siostra i brat [s.286-287]

piosenka czeski domek

od strony strun od strony strun
kończy się fantaplastyczny tom
zbudował anioł na łąkach łun
z rozkwitłych witek migdałowca
czeski domek taki mały figlarny dom
dla mnie świtowego wędrowca

matko skąd ptaki w kieszeniach masz
ach lecą lecą piosenki ros
domek jak bemol odwraca twarz
pójdą deszcze batami po owcach
nieco w górę i w prawo na wskos
do mnie świtowego wędrowca

nie wiem i wiem nie wiesz a wiesz
śmieje się toń przemądrzała mórż
czeski domek mi żółknie jak papier wszere
prócz dachu stanie żółtolity
o przynieście tu lubelskiej rzeczutki nóż
ukroimy wędrówkę świtu [s. 241]

jedyna

patrzę patrzę
smutne i wesołe rzeczy są jednakowe
przystanek tramwajowy wciska w ramiona głowę
fabryka zatopiona powietrza oceanem
grzeje kominami wieczór i tak już nagrzanym
w domy nim je zamazał letni zmierzch smagły -
paciorki lamp chłodnawe sypnęły się gradem nagłym
sennie brzęczą witryny wtórując kołom krokom
bełkoce za żołnierzem pękaty wypukły bukłak
okna lampy gazeta żołnierze marokko

patrzę patrzę
i rzeczywistość tak jakoś sama w rękach jak granat wybuchła
fabryka domy przystanki może czekają
zmierzch tuli się do ulic może chce uwierzyć
na drobnych przedmiotach niepokój śniegiem leży
rzeczy matek nie mają
a moja

patrzę patrzę
schodzi ze schodów uśmiech siwy

twarz zmarszczek siatka geograficzna
według niej żegluję między ludźmi szczęśliwy
to szczęście w jakich wyliczyć liczbach

kiedyś
dzieciństwo złe szczenię szczekało w dni wodospadach
głodnego na tapczanie gorączka mnie żarzyła i jadła
połatane ubranko szeptem opowiada
ręce chropawe od pracy dla mnie kradły

pani na pierwszym piętrze ma powieki płatki liliowe
gdym poznał że malowane jak ciężko dusiły łzy
matka z gniewem chłoneła moją spowiedź
krzyczała pięścią groziła światu że zły

jeden kąć
w roku wojny
w rodzinnej izdebce szłocha
gdy synek wlecze się na front
zranione nogi ciągnąc w dróg prochu
wsparty towarzyszem karabinem

patrzę patrzę
teraz ręce oczy jak most przerzucają się do mnie
most miłości wspomnień przebaczeń zapomnień
fabryka palce kominów w ciepłym zmierzchu macza
przystanek czerwonym wzrokiem zerknął tu szydarczy
przedmioty czyżbym się wstydzić was musiał
dla was powiem słowa inaczej
siwy uśmiech silniejszy od śmierci
matusiu [s. 64-65]

[rankiem śpiew ulic pustych i słońce są nisko]

rankiem śpiew ulic pustych i słońce są nisko
zwisają tuż nad głową słodyczą wielkich grusz
w wylotach przecnic strugą fantastyczną tryska
złotawy kurz

nagie głowy przy murze upał głodu żarzy
bezrobotni splatają mocno grube palce
pod magistratem ogród poszarzałych twarzy
radość niebieskich godzin zatruwa zakalcem

bystrzyca jest daleko
bystrzyca ocieka kolorowym tłuszczem
płyną oftalmie barwne jak gotycki witraż
u stóp rynsztoki srebrnym wykładane kruszczem

a to nie srebro [s. 331]

do tereski lisieux

drobniutkie stopki tupot nad otchłanią
śnieg pada bieli choinki
oczy tereski bóg zapalił
powinny być skrzydła u ramion
trzepotać zmawiać godzinki

habit czarny spadochron nie pozwala upaść
ludzie upadają płaczą drżą
gwiazdy rodzą gwiazdy księżyc ciemność rozłupał
a ja spłynąłem miłością jak rzeka krwią

zasłoń święta łez dolinę
niech nie widzę
uszy dłońmi otul
jak zapomnieć mam że płynę
w oparach krwawego potu

boli ty masz dłonie białe
ziemia dymi ty się uśmiechasz
zrozumiałem
że milczysz to ma być mój lekarz

odejdz teresko
na swoją wysoką steczkę
niech tam na niebie będzie święto niebiesko
pozostanę niedoli dzieckiem

nie anioł ale ziemie
nie chcę błogosławić
z wieków i chwili wydzieram krzyk

o świecie
nim cię kto zbawi
zgiń przemiń [s.77-78]

Księżyc na mieście

Mur nie pamięta dnia wśród nocy białej.
W blaszanym, twardym kasku głowa za firanką.
Reklamy dogasały, lampy dogasały.
Jedna gwiazda błękitna świeciła kochankom.

Cichy lot nad dachami. Sowa się kołysze.
Płowość pustego bruku przepływa w księżycu.

Zamknięte w gruby fiolet naroża i nisze
nie śpią, stoją, wzdychają nad bladą ulicą.

Na afiszu pajace żółte i zielone.
Latarnik brnie w zaułek jak żrenica wąski.
Drzewa noszą się z wolna w tę i tamtą stronę,
a cień, za nimi sunąc, przebiera gałązki.

Nocność sączy się cierpka z granatowej głębi,
pszenicznymi falami płyną wolne chmury.
W śpiącym mieście szalony czarny koń się kłębi.
I głowa za firanką. I usta z purpury. [s. 293]

Klinika lalek

"Przy ulicy Zielonej stoi domek czerwony. A w tym domku czerwonym siedzi dziadek zgarbiony. A w tym domku dziwne rzeczy: chore lalki dziadek leczy. Zeszywa im brzuszki, nakłada trzewiczki, przykleja peruczki, maluje policzki. Uczy lalkę mówić „tata” i „mama”, i żeby oczęta zamykała sama. Ma urwane rączki, połamane nóżki ma ten dziadek radę. I na puste brzuszki.

No słowem, na wszystko. Chyba uwierzycie, że lalki kochają staruszka nad życie. To jego zasługa, że gdy już są zdrowe, wracają do dzieci czyściutkie i nowe."
[s. 424]

Knajpa

Tłumnie mijały się auta
cętkowane kręgami lamp
wracano z rautu

Nagie ramiona w bransoletach pochylały się nad brukiem
równolegle poziomo i w ukos
z gestów dam
wynikało że chcą spędzić wieczór w gabinetach
pić wesoło i długo

Błysła zabawa

Nie było gwiazd
nic wiadomo było czy noc już schodzi
w czterech jedwabnych ścianach nie ma ulic miast
nikt nic przechodził

Głosy w pijaństwie gasły głąskały się coraz dalej
smukły pan całował ażurowe pantofelki
jedna para tańczyła
spadała komenda pij nalej
z ust panienki w sukience lila
gulgotały nad kieliszkami butelki

Nagle zaczęły się przesuwać kąty gabinetu
żeby nie upaść musieli usiąść
czarne nocne okno błądziło ze ściany na ścianę
kwadraty posadzki goniły za daleką metą
wydęte banie portier wirowały nad stołów oceanem

Usiedli usnęli
gabinet jak wagon pomknął ku świtowi
głowy pijane odrzucili w tył
żyły im nabrzmiewały krwią i alkoholem
a z niemocy tych głów z gorączki żył
realizuje się fantom-Golem

Byłby może zmiażdżył tę gromadę
ale oto
w liryce dalekiego tanga
zaczął warczeć codzienny motor
zmieniło się niebo blade
w jaskrawy prześwielisty hangar

mózg lat 12

chmury wyżej niżej to nuty
brodzą w błękicie luzem
brodzą i moje buty w letniego wiatru strudze

kapliczki ze świętym janem
w wianeczku zawiędłych bylin
dosięgnął niewypowiedziany
obłok motyli

dalej drogą na łąkę
wędruj pagórem gliny
torze kolejki
papierowy powój poprzerastał szyny

do łąki ścieżyna pałąkiem
na dół z nasypu deptając trawę u rzeki
nagi chłopak zakipiał

gdzie się choiny kończą
zasłaniające miasto
wyrzuca sto wiotkich rączek
mózg lat dwunastu

między kroplami chabru
na rybiej łusce fali
trzeпоce się chyży kaprys
torsu gibkiego spirala

krzyk o południe o potok
krzyku pełne usta i garście
w ekstazie słońca jak motor
pali się mózg lat dwanaście

patrzę dzień idzie za południe już niesymetryczny
wkrótce wieczór nasypie się jak góra
wiatr trawy ruszył a nie drgnąłby komin fabryczny
ze złotej rzeka będzie bura

chłopcze chłopiec jutro pojutrze
radość naga a to nie życia zacznij
zamknie się na zawsze jak kluczem
w 1936 chłopcze na rzekę spod hełmu popatrzysz [s.85-86]

Hymn

Szumiąca
chorągwi czarnych armią
łopotem ogni
śpiewem

chwytasz znienacka za gardło
serce roztrącasz
zimnym zalewem

żyjemy błędzimy
kołują na zegarach godziny
za nikogo chyba
płacze późną jesienią
szyba

do kogo się śmieje maj z wierzby
mówiący słowo kwiatowe
wieczornym ceniom

kiedy ptak znad bystrzycy ulatuje wzwyż
ziemia cała spada ciężką kroplą
ścieżki pokrywa zieloność
drogi się kładą na krzyż

woda ucicha za groblą
biegną do swoich wewnątrz puszyste knieje

i malejące kształty domostw
ty jedna olbrzymiejesz

złoty na czole nocy
nabrzmiwa znak twej mocy
żyła piorunu
potężnymi stopami wychodzi z mroku
drżeniem napełniający
ciemną zatoką
falujący
grom
wielbi cię siła człowieczej giiny
śmierci
winna bez winy

ginąc na lądach
w powietrzu płonąc
jak zorze
niespodziewane
przywaleni w kopalniach gruzu kolanem
śpiewamy

głodem żelazem wybuchami
ogniem i gazem
tobie grożąca
tobie nieunikniona
królowo nocnego słońca
nienasycona.

Daleko

wiatraki kołyszą horyzont
chaty pachną stepem
chatom źle
stoją na palcach o zachodzie ślepe
wspinają się jak konie
za chwilę się pogryzą

nie step ucichłe morze
rozlewa się wieczór bez szumu
świejące szyby otoczyły kolejowy dworzec
zachód mozolnie żuje gumę

ostajcie zdrowo matuś
z wojska napiszę list
nad parowozom dym białe kwiaty
gwizd

w niedzielę pociąg odiechał
w inną niedzielę przyjdzie
pracują czerwone obłoki pchają się ku słońcu

na stacji dzień jak codziennie tydzień jak tydzień
a szyny
szyny się nigdzie nie kończą

Dawno już ucichł

Dawno już ucichł
złoty kogucik

i królik biały kwiatów nie depta.
Ogromna Wisła
pod niebo wyszła,
z gwiazdami szepcze...

Gliniany konik
wszedł na wazonik,

by się spokojnie zdrzemnąć do świtu.
Synku malutki,
do twej poduszki
i ty się przytul...

Zimowe uroki

Matusiu, Lublin tak srebrny
twe baśnie mi przypominają
o lotach koni podniebnych
cezarach lamp Aladyna...

Kościół w bieli i wieże
w kołpakach, skrzących się w słońcu
są jak archanioł, co strzeże
wrót rajszych na świata końcu...

Zamek, jak statek, co burzy
utracił ster, żagle i maszty,
martwo na białej górze
spoczywa w cieniu swej baszty...

W uliczkach błękitne smugi,
w zaułkach – srebrnie i białe.
Na bram i okien framugi

Śnieżnych „baranków” nawiąło...

Tak za dnia. A kiedy nocą
bania uroków tu pęknie
i gwiazdy niebo wyłocą
- o matuś - jak będzie pięknie!" [s. 385]

ja karabin

zapomniałem piękny sierpniu od wczoraj
jak drzwi kina otworzyła się ta pora

mur spękany nad tapczanem rozkwitł srebrnie
znowu głowa będzie gwiazdą niepotrzebnie

artylerio z betonowych łożysk ryknij
dosyć zmierzchów fałszowanych i jutrzni

cedzi stówo bardzo mądre dzień zwykły
w muszlę uszu których ja znów jestem uczniem

słodko wiersze w cieczy cisz tych się wazą
jak trzmiel czarny w tunelowym garażu

tylko taki czas odmienny chciałbym poznać
w którym ludu karabinom będę z wiosną

Dzisiaj verdun

samochody planety świecące deszcz stał ukosem
przechodnie w melonikach melonik czarny owoc
cienie rzeczy ulica czarniejszym mrucały głosem
tylko tramwaj uparciuch błyskał na drucie różowo

nad jezdnią latarnie wisały mleczne obłoki
wieczór a mleczne obłoki lecz wyżej było ciemno
kanciaste bryły kamienic w żałobie mroku po kim
a dach zupełnie jak balon w górę gdzieś zemknął

no powiedz czy nie spokojne ciche miasteczko stolica
a przecież na trotuarze nowy świat trzydzieści dwa
moknę na deszczu marząc jak podchmielony policjant
samotny w tłumie ja

zlikwidowano wojnę spętano paktów powrozem
na próano ba my wciąż na froncie bijemy się
patosom dział świszczących bomb grozą
jestem wciąż na pustyniach verdun

deszcz na asfalt światło na krzyk warszawy
.uczy miana na kolumnę ogłoszeń bo ona z chlebem
od wewnątrz czuje mózg wojenną czerwoną prawdę
rozumiesz

cóż po chlebie kiedy nie smarowany niebem

elegia uśpienia

godziny gorzkie bez godów
czarny druk na pożółkłych stronicach
jakby ze stromych schodów
spływała w mroku żywica

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach
tętnią mu rynsztoków żyły
rytmami dwoma

niebo sine niebo szare
domy szare domy sine
beznamiętnym obszarem
to niebo to miasto rodzinne

tylko myśli się miłość żywa
w myśli na bruku się klęka
naprawdę złotą niwą
faluje tylko piosenka

sen życic ujął
osłoda sen ciężki a nicważki
piękne zjawy sennie kołują
w krwawych ciemnościach czaszki

dni malowane zmierzchem
śniąc także jak zły list potargam

wtedy
kwiaty na gwiazdach wierzchem
rajskie ptaki obsiadają parkan
rzoką światła ścieka śnieg zbrudzony
tęcz jest tyle tęcze lecą ulica
jedna niesie konew
z żywicą

z żywicą
znów po ogniowych ogrodach
znowu ciemne korony
i w takt ociężałych kroków
spływa po czarnych schodach
żywica i miasto mroku

Elegia żalu

j a: zielona gwiazdo z norwegii
gładkim na śniegu śladem
majowe u drzew noclegi
opowiadaj

g w i a z d a: ogniste święta kobiet schodziły ku wodom
lekki wiatr kołysał świat nasz nucąc
chodził smugą złotą
blaskiem gwiazdy zasmucał
dymiły karminowe pieśni
leśny wieczór się prężył
stojąc w gęstwinie wonnych paproci

j a: skądże przyszedł jak czary zwyciężył
cień przedwczesny
w chłodnym przelocie

g w i a z d a: zwyciężył święta święte schodzące ku wodom
bo myśl mą przeczuł
żałuję umarłych młodo
i mieczów

j a: zakrywam się przed rozpaczą dłonią otwartą
listopad mocno trzyma mnie w ramionach
wiersz ten rozdarło
spójrzysz już kona

g w i a z d a: gdy umilknie śmiercią olśniony
stoczy się na me ręce rosą
poniosę go niemo
sinawą szosą
której nie ma

to na niej gasły drzewa wiatr szepty mórz
to tędy szli pomarli zbyt rychło
snuje się mieczów strzaskanych metaliczny kurz
i ja gwiazda północna przetoczę się cicho

to tędy ty idziesz
zanim jeszcze twe serce ucichło

Eros i Psyche

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srelirnąwą przenika poranek
chce wydobyć z topieli dom moi miasto wzgórza
słaby I bardzo szary próżno skrzydła trudzi

mimo że świt z mórz nocy świat się nie wynurza

z zorzy bez horyzontu głosy dwojga ludzi

słowa toczcie się do me)
powiedzcie znowu

serce myśl
miłuję

wracajcie jego słowa wonne
hzepnijcie mu ode mnie to samo
miłuję

jedno to jest od wieków
głód zagłada I ty
jedno to jest od wieków
głód zagłada I ty

wiatr wieje z siwej nicości
świt nieznany ma zimny oddech
aleś ty jak woda rzeźwiąca
a my razem jak miecz i dłoń

placzę
miłość smutek wspólne to drzewo
jak chmura i grzmot
pod ręką czuję twe serce
smuci się równie

oczy ci łzami zaszyły
wargi drżą tak skrzydła złamane trzepocą
to ból nie smutek

nie myśl
bo może dlatego placzę
żeś nic widział nigdy moich łez

nie słuchaj serca
bo może gonilem ku tobie z prędkości miłowania
zmęczyło się

zapomnij o przeszłych i przyszłych
opuść błyskawice szalone
cóż że gwiazdę na której się unosimy
niebo uroni wkrótce

zapomnienie to ty
ty jesteś przy mnie
więc nie czeka mnie nic i nie żegna przede mną ni za mną
ty wieczność
głębiej szerzej
niż sądzisz

już się sprzed sił
które czas wydarły z łona bogów
mocna

miłuję
miłuję

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srebrną przenika poranek
szarość stoi na lądach beznadziejną ścianą
ziemia drży chce otrząsnąć się z tej tępej krzywdy
po coś słuchał człowieka
rozmowa dwojga zgasła w konstelacjach sekund
mogłoby nic być jej nigdy

Na wsi

Siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach
popołudnia wiejskie grzeją żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
życie - pola - złotolite

Wieczorem przez niebo pomost
wieczór i nieszpór
mleczno krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu.

Nocami spod krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec

Księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać

Przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem

narzeczona

wszedł na fale tucznik jutrzni pięść wparł w głąb
ściakał długo złotą strugą migotał w łuskach
w ciemnym złocie liśćmi ociekł jak strugą dąb
w ciemnym świcie wichru wyoie i pustka

a cóżeście to tak wodę zmaćcili
czemu kuźnia pod dębami nie dzwoni
noc zesuwa się niebieska jak kilim
w czarnym krzyku gniazd wronich

wychodziły białe chaty na ług
jeszcze stoi wielka rosa na ziołach
wyjdźże młoda przestąp próg
spójrz w ranek malowany
spójrz bystro dokoła

ukochany
nie wołaj
mam na oczach marę senną piękniejszą

a cóżeście to tak dymy rozwiedli
że w ainosd tej nie widać wsii cdiej
świtam rankiem słońce sunie spod jedlin
jak twarz moja zuchwałę

ustawiały się rzędem ploty
chochołami róż kołysał zły wiatr
wyjdźże młoda na jehianne zaloty
spójrz chłopak u ściany
ozarnooki czeka swat

ukochany
me zaloty
sen tęskliwy mara której nie znasz

przez kresy

monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa raz po raz rytmem
koła koła
zioła

terkocąc senne półzycie

drożyna leśną łąkowa
dołom dołom
połem

nad wieczorem o rżyska zawadza
księżyc ciemny czerwony
wołam
złoty kołacz

nic nie ma nawet snu tylko kół skrzypp
mgtawa noc jawa rozlewna
wołani kołacz złoty
wołam koła dołem połem kołacz złoty

Wieniawa

Ciemniej
Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.
Ciemniej
Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
bieg na ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater,
świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębnom.
W dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bóżnice
pod mroku cichego łapą.
Ach, trzasnęłyby niskie pułapy -
ale już zajaśniało.

Pejzaż. Wieniawa z księżycem.

ze wsi

tych kijanek tych praczek u potoczka
kujawiak kujawiazok
siwe oczko śpij
bura burza od boru
i jak bór dudni piorun
rzucili na wodę zlocisty kij

pogryzł deazicz widnofcęgę niedobry pies
w glinie zburzył krople rude
mokra wte& wieczna wSeś
tafcie dno zielonego świata

znad wisien ozeresien zmyło błękit
spij dziecko niazabudok
no śpij

w okno patrzysz a po cóż
to znasz
niepogoda na uwroaiu opłakała trawkę

mam ja za obrazom grający kij
mam ja ligawkę

kujawiak kujawiaczuk
w muzyce śpij

Cmentarz lubelski

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: północ, północ!
Dołem
place konopne, Iniane,
ulice - długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.
U krańca Lublina czworokąt czarny,
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.
Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blask bładny gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.
Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.
Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij:

"Oto teraz w prochu zasnę - z prochu wstanę w dzień ostatni..." [s.140]